

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok VIII.

Warszawa, dnia 8 lipca 1916 roku

№ 28.

Piotr Choynowski.

Pan Bratkowski.

Pisać o panu Bratkowskim trzeba prosto, prościusienko. Bo sam pan Bratkowski żadnym filozofem nie był — ale, skąd mu tam do filozofa! Za ujme by sobie uważał, za kpiny przykre i nie na miejscu. Raz, mało że do bitki o ten tytuł nie došlo.

Bo i jakże...

Siedział sobie kiedyś pan Bratkowski — w Miechowie to było — w zajeździe, Jarmark, luda huk, pią niezgorzej... Pan Bratkowski po dwóch już „większych pieprzowych“ peroruje o wojnie, jak to sobie dziś w „Polskim“ dokumentnie wyczytał. „Nie może“ — mówi — „francuz dłużej wytrzymać, bo mu ludności ubywa. Nie chcą baby rodzić i kwita! Niemiec szykuje, austryak szykuje, a francuzowi żołnierza brak. Nie da rady, będzie wojna. Bratkowski to panom mówi!“ Gada i gada — czy mu się jak kotu świeca. Ludzie nie, słuchają, siaki-taki głową kiwa do taktu i dla zrozumienia... Aż tu naraz odzywa się — i kto? dzierżawca z Olszynki, Bogusławski, kutwa i kuternoga. Brzuch ze złotym łańcuchem wypiął, palcami po nim bębni i śmieje się prosto w nos. „Duby, panie, smalone baję. Gdzie wojna? co komu do wojny? Próżniakom chyba i darmożjadom... Wojna! Też, panie, filozof!“ Pana Bratkowskiego aż poderwało. Jeszcze próżniaka i darmożjada możeby zniósł, ale filozof! Porwał się, czerwony jak krew na gębę. „Kto filozof!“ — wrzeszczy. A już i Bogusławski runął z miejsca. „Pan-eś, panie, filozof! Jak Piekarski bredzi!“ Więc pan Bratkowski za krzesło, młynka nim wywinął, już, już miał prasnąć, — aż

się dzierżawca do ziemi wygiął — ale go strzymali. Sikorskiego jeszcze stracił i Olszewicza małego, co mu pod ramię włożył — lecz liczbie nie sprostą. „Dać pokój, niema o co“ — radzą trzymający. A już i pan Bratkowski ochłonął. „Gębę zbiję, no i co? W kozie siedź i pieniądze płac — niewarto!“ Splanął więc tylko z furją, drzwi kopnikiem otworzył i wyszedł.

Wrócił pan Bratkowski do domu, na swą leśnicówkę, zły, jak pies. Ani do niego przystąpił. Zośkę, co w szóstym właśnie chodziła, o obiad zekpał na funty, a gościniec to jej na stół szmyrgnął, jak Lysemu — aż płakać do alkówki poszła; smarkacza, co się po Kasi-nieboszczce został, rzemykiem na kwaśne jabłko sprął, choć mu Józef było, jak i samemu panu Bratkowskiemu; do gajowego Wiedkiewicza z pięściami wyszedł... Nie ulżyło mu nic. Legł więc na swoim wyruku z butami, kurzył i siwiejące wąsy gryzł z pasją zawziętą...

Wstyd mu było. Bo pan Bratkowski zna swą słabość: niech tylko pałą zaleje, choćby i niebardzo, choćby krzywe, to zaraz o wojnie. O niczem, tylko o wojnie. I to od lat, od małości... Wojna i wojna! A tu gdzie do wojny? Od tureckiej ani słyhu — chyba gdzieś, za morzami. „Kundle się w ogon gryzą — i masz wojnę, stary durniu“ — дума pan Bratkowski ponuro. „Do śmierci będziesz trznadłe po książęcych lasach ganiał, do swego marnego końca!“

A tęskni pan Bratkowski-Jelitczyk do tej wojny, Boże, jak tęskni! Gdzie mu tam zagajniki sadzić, w ziemi się mokrej babrać — kiedy on

jest żołnierz. Choć nigdy w wojsku, jako jedynak, nie był, choć nigdy wojny nie widział. Jest żołnierz i kwita! Żołnierz.

Tylko szczęścia niema. Za powstania (mój Ty jedyny Boże!) koczując w zębach nosił — tyle że mu ojca pod wściekłym Chmielińskim zabili, — do wojska jako ta matki podpora i z własnej zawziętości nie poszedł, w tureckiej wojnie wahał się długo, boć zawsze turcy-poganie i ksiądz mu na spowiedzi zabronił surowo — a potem, ech! te wojny — jakby psu szperkę zdaleką pokazał... Nie szło mu to, nie! A co mundur w obścieniu zobaczył, albo musztrę — to go ręce świerzbiły, że miejsca nie mógł znaleźć. Oszukiwał się też na różne sposoby: gajowych swoich wykształcił na pluton, dawnych żołnierzy wyraźnie preferując, na rubszyców plany strategiczne układał i tyraliera podchodził, że go się jak ognia bali; przez granicę do Galicji przekradał się samopas i w najtrudniejszych miejscach, żeby przecie sercu miły świst kul usłyszeć... Ale cóż to? furda, zabawki!...

Sam gotów był zawsze. Każdego dnia, każdej godziny. Werndla i Manlichera od austryackich dezertorów wycygał, berdanke i nowy, leciuchny karabinek rosyjski od zapitego dragona kupił tanio, rewolwerów i szabel kawalerskich miał bez liku, w schowku, urządzonym tak pięknie, że, naprowadzeni przez Magdę (co to ja z bachorem wygnął, gdy się z gajowym Florkiem zwąchała) strażnicy wstydu się tylko i kpin najedli. Klaczka pod siodło, oporzadzona czyściutko, jak panna na taniec, czekała w stajence (nie wiedzieć, która już z kolei...).

Gotów był pan Bratkowski. I nie. Czterdziestka stuknęła, kudły mu oszroniały — a tu nic. Nic i nic, jak na śmiech, jak za karę. Nic.

Którejś jesieni zaczęto coś przegadywać o Warszawie. Koleje stanęły, gazet ani dudu — awantura. Odżyło w panu Bratkowskim serce.

Klaczkę osiodłał pięknie (butanka akurat była), rewolwer w ukrytą kieszeń wzięł — pojechał. Ano tu pochód narodowy właśnie, śpiewy, sztandary sędziwe. Splakał się pan Bratkowski, jak bóbr. Ale i tyle tego. Nosiło go jeszcze po mieście ze trzy dni: włożył się, przyglądał, jakby miarę brał. Gdzieś policzantowi żebra zmacał, tu się do bitki wydarł... Ale mu się nie wydało. Nie to. Nie żołnierska sprawa. Rzeczy zawiłe i panu Bratkowskiemu obce. Nie żołnierskie.

Wrócił z tej wyprawy z pogardą dla miasta i kraju. I jeszcze z żalem okropnym. Nie doczeka widać — niema co. Przyjdzie na tym tu, — o! — nogą kopniętym wyrku zdechnąć. Dyabli! Pensję mu właśnie podnieśli, świecę począł na dobre, skapcianał. Już i do dziewcząt skorość przeszła. Nawet go krótka mauzerowska broń, co ją przez żydów od rewolucyj kupił, nie cieszyła. Psu się wszystko na budę nie zda! Liczył lata ze śmiechem: pięćdziesiąt dwa, trzy, cztery... Dyabli!

Aż tu naraz, jak grom. Wojna! Serb z austryakiem — wojna, francuz z niemcem — wojna, niemiec z anglikiem — sypnęło się, jak z rozdartego worka. Wojna, wojna! Pan Bratkowski oniemiał, a potem żył, jak w gorączce, jak w szale. Dziś strażnicy w nogi, na łeb, na szyję, a już nazajutrz idzie z pod Miechowa lasami wieść, że w miasteczku „polacy”. Serce w panu Bratkowskim stanęło. „Jacy polacy? co za polacy? gadaj, durniu”, trząsał starym chłopem, jak gruszką. „Ano są, po naszymu gadają, jak łośńskiego roku, komenda u jeich nasza. „Komenda nasza? polska?” „Dyć, musi, polska. „A komi są? gadaj!” „Są i komi, co nie mają być. Nie pytał już pan Bratkowski o nic więcej. Ledwie go dygoczące kolana do sienj zaniosły i do schowka: śliwowiec przedniej w manierkę nalał, szablę opasał, mauzera i karabinek leciuchny rosyjski wzięł. — klaczkę mu szarogniada podali — z kopyta ruszył. W imię Boże.

I nie wiedzieć, co tam prędzej po kieleckiej drodze rwało: czy w owsie podufała klaczka, czy pana Bratkowskiego serce. Doczekał się.

Gdzieś już pod Jędrzejowem: „Stój”. Widzi pan Bratkowski — chłopczyzna mała, niebieska a okurzona, jak wierzba przy drodze. „Stój” — mówi basem. Dojrzał pan Bratkowski orzelka, karabinek złożony w mig poznał. „Werndl, Ci dyabli!” — rozrzewnił się po eichu. „Stój, polak” — odpowiada. Ano-pikieta. Niema żartów. Dał się spieszyc; jeśli go ci niebiescy jeden drugiemu oddawać, obywatelom tytułując, surowo do się przegadują, po służbie, miny za katy twarde. Do komendanta najwyższego doszli. Od konnicy, wedle pana Bratkowskiego woli.

Siedzi ten komendant przed domem na pieńku, pysk blizna przeorany, mina wesola, tatarska, koszuła na nim, jak święta ziemia... Głowa kiwnął grzeczniej i zaraz do konia.

— Pańska? — pyta.

— A moja.

Skoczył na klaczkę leciutko, zwrot jeden, drugi, zesiadł, poklepał.

— Dobry koń — mówi. — Czem służyć można?

— A tom się spytać chciał, co panowie za wojsko.

— Toć pan widzi. Polskie.

— Polskie?

— Polskie.

— To się zaciągam.

Przymrużył komendant tatarskie oko, uśmiecha się.

— A nie późno, dziadziu?

Splonął pan Bratkowski aż pod siwą szeczotkę. Aż mu oddech zaparło na chwilę.

— Melduję... melduję posłusznie, że pięćdziesiąt lat czekam... że od takiego...

Poklepał go komendant po ramieniu.

— Dobrze, już dobrze... Przyjmuję.

Tak oto na stare wreszcie lata został pan Bratkowski żołnierzem. Siła to tam tego wojska nie było: piechoty pułk leciuchny, no i konnicy czterdzieści trzy ogony. Pan Bratkowski czterdziesty czwarty. Przyszał do nich odrazu, wlaź jak cegła w murek. Udała mu się ta armia. Że to ich wszystkich, buty zdjawszy, na palcachby się dorachował, orali więc za dwa szwadrony. Podjazdy, przewiały, codzień strzelaninka, albo i dwie, a po powrocie

musztra — „cugle skróć! marsz!” Rozkosz.

Cieszył się pan Bratkowski tą zabawą, jak dziecko, choć na twarzy miał marsa i powagę, jak żołnierz. Jedno go gniewało: owo komendantowe przezwisko „dziadziu” przyłgnęło doń, jak smoła. Nie lubił tego. Najstarszy coprawda był w szwadronie — ale psi komu do tego! A tu podporucznik — jeśli nie służba — „dziadziu!”, wachmistrz — „dziadziu, koleczy — „dziadziu”, nawet i rekruty (lepił bo się do tej konnicy, jak mokry śnieg do płozów). Aż się któryś doczekał. Trafiło na głupiego foszmana z pod Proszowic. Dziś się zaciągnął, a jutro do pana Bratkowskiego „dziadziu”. Zagrało w panu Bratkowskim serce (żołnierzy było przy tem dość). Wstał pan Bratkowski, mówi ostro: „Twój, dziadziu, durniu, kury babom maca, albo na łaskawym chlebnie jagły w zupie liczy, choćby i u mnie. Rozumiesz, głąbie!” I zaraz buch go w zęby, aż się nogami nakrył. Wtedy go w ręce, jak w kleszcze, ująwszy, łbem o słupek potyrkotał łagodnie. „Miej, chamie, rozum”. I już, więcej oń nie dbały, pięście w rajtuzy wsadził i poszedł, gwizdząc ku większej parady.

Siedział coprawda za tę bitkę 2 dni w ciemni, ale okropnego mu to zdarzenie honoru w armii dodało. Zwali go coprawda dziadziem i nadal, ale pocichutku. Chyba, że Grom i Franek. No, ale oni! — Gromby się samego dyabła nie zląkł, a dla Franka nijakiej świętości na tej ziemi nie było.

Dalszy ciąg nastąpi.

Gustaw Daniłowski.

POWIEŚĆ.

LILI.

12

Pierwszy list Lili przeczytała z bólem, drugi ze łzami i postanowiła pomimo niezwykle osłabienia wstać i jechać.

Podniosła się i, korzystając z nieobecności Brunona, zaczęła zbierać najpotrzebniejsze rzeczy, odpoczywając co moment.

W głowie jej się kręciło, ręce się trzęsły, czuła się bardzo źle. Przyłożyła się do poduszki i myślała, że byłoby strasznie, gdyby, nie powiedziawszy Stefanowi, że go kocha, umarła, gdyby został na wieki w tej niepewności i tem przypuszczeniu, że go opuściła i zdradziła w sercu.

— Ptak mój złoty! — myślała — i widziała jakby pomięte jego skrzydła, wyszarpany puch z pod piór i lzy zakręciły jej się w oczach. — Muszę, choćbym się miała dowlec, wygładzić mu skrzydła, od-

pieścić, odchuchać — i zrobiło jej się na tę myśl niezwykle słodko i jednocześnie słabo.

Mgły sennego odurzenia obiegły jej głowę i zemdląła na kilka sekund.

Gdy się ocknęła, zdawało jej się, że minęły wieki. Zasnute mi oczyma rozglądała się po pokoju, jakby zdziwiona, że przez tyle czasu nie zaszła w nim żadna zmiana, że wszystko stoi na miejscu i w tym samym porządku leżą powyciągane na fotelu rzeczy.

Zabrała się znowu do pakowania, wybierając stroje, które lubił. Pot jej wystąpił na skronie.

— Muszę odpocząć — położyła się znowu i jak przez sen myślała, że trzeba posłać telegram, ale jak wszystko będzie gotowe, najlepiej z drogi, by nie denerwował się oczekiwaniem.

Mąciło się jej w głowie.

— On dobry, zrozumie, kochany, dlaczego nie można być razem, przecież obaj dobrzy — ściągnęła skronie i znów naszedł ją jakby zasen.

— Wieczór — szepnęła, ocknąwszy się i widząc w oknach różowe promienie zachodu — jak dziś nie zdążę, to znowu dzień minie.

Wyciągnęła walizkę i zaczęła układać wprawnie i szybko; chciała wreszcie zamknąć, ale poczuła, że brak jej sił, zadzwoniła więc na służącą, kazała jej ściągnąć paski. Spojrzała na zegarek.

— Dwie godziny czasu, Brunon lada chwila będzie.

Położyła się.

Brunon się spóźnił i zjawił się na jakie dwie godziny przed odjazdem. Znalazł Lili podnieconą, prawie w gorączce.

— Podaj mi płaszcz — wymówiła głucho, gdy wszedł.

— Co tobie?

— Podaj mi płaszcz, bo się spóźnię — zachwiała się, runęła w jego objęcia, zatrzepotała, jak spłoszony ptak, w nowym, silnym ataku.

Brunon złożył ją na łóżku, roztelefonował po lekarzy i jednocześnie, ulegając impulsowi szlachetnego serca, wysłał telegram do Stefana.

Gdy Świda otrzymał depezę, przez chwilę nie miał odwagi otworzyć.

Wreszcie rozerwał blankiet:

— Przyjeżdżaj natychmiast wprost do mnie. Lili jest chora i wzywa cię, Brunon.

Zrozumiawszy treść, Świda doznał uczuć niepokoju i trwogi, pomieszanych z radością, że go wzywa.

Potem zaraz spadł na niego szereg kłopotów, związanych z nagłym wyjazdem.

Nie miał paszportu, był nieco skompromitowany politycznie, trzeba było szwarcować się za cudzym, w dodatku z zupełnie nieodpowiednim rysopisem, to też dla bezpieczeństwa musiał jechać cokolwiek okólną drogą.

Wszystko zajęło mu kilka dni czasu. Wreszcie, wybrawszy pociąg, który na granicy stawał wieczorem, wsiadł do wagonu.

Z pewnym niepokojem znalazł się w rewizyjnej sali. Miał chwilę absolutnego zapomnienia nazwiska, za którym jedzie, i w zimnym pocie w decydującej chwili wydobyl je z jakiegoś zatrzaśniętego zakątka pamięci.

Znalazłszy się na drugiej stronie, odetchnął swobodnie i jednocześnie jakby sobie ponownie przypomniat, że Lili jest chora.

Im bliżej celu podróży, tem silniej poczęła go palić gorączka ujrzenia jej.

Kuryerski pociąg wydawał mu się żółwiem, zbierała go chęć wysko-

czyć i biedz, a w chwilach uspokojenia nerwów zaczynała go intrygować zupełnie nowa, nieprzemyślana, oryginalna sytuacja znalezienia się pod jednym dachem we troje.

IV.

Świda z pewnym niepokojem stanął przed drzwiami mieszkania, na których pod tabliczką „Brunon Boerne“ wisiała kartka z napisem: proszę nie dzwonić, lecz stuknąć.

Gdy zastukał, w zaszkłonom okienku błysnęło oko, a po chwili w drzwiach otwartych ukazała się wcale urodziwa subretka.

— Czy pan Boerne w domu? — spytał Świda, ale w tej chwili zjawił się w przedpokoju Brunon.

— A więc jesteś — podał mu rękę — proszę cię — zaprowadził go do niedużego pokoju. — Tu przygotowałem dla ciebie locum; bądź, jak u siebie w domu, a jakbyś czego potrzebował, spytaj Kasi, lub zgłoś się do mnie.

— Gdzie Lili, jak... — począł się żywo dopytywać poeta.

Brunon rozłożył bezradnie ręce.

— Silnie rozwinięta wada serca; o radykalnem wyleczeniu nie może być mowy; rozgłosić się tu, a ja ją pójdę przygotować, bo każde żywsze wzruszenie... — urwał, posłyszawszy ciche dzwonięcie. — Zaczekaj tu — i poszedł do Lili.

— Rozmawiałeś z kimś, Brunonie, może to Stefan?!

— Tak — odparł Brunon.

— No to proś go — chwyciła lusterko, poprawiła włosy i koronki koszuli, umieściła wysoko poduszki tak, że prawie siadła na łóżku.

— Stef — wyciągnęła ku pocie ręce, a gdy pochylił się, by dłoń ucałować, przytuliła jego głowę do pierśi i gładziła przez chwilę jego miękkie włosy, potem spojrzała trochę winowajczo na stroskaną twarz Brunona i rzekła:

— Odsuńcie mi łóżko, ot tak, dobrze, siadajcie po obu bokach tak, jak teraz — złączyła ich obu ręce w ujęciu swych dłoni;

— Mój Boże, więc razem nareszcie! — w oczach błysnęły jej łzy.

— Lili, co ci? — rzekły prawie jednocześnie.

— Ze szczęścia płaczę, ze szczęścia — uśmiechnęła się, objęła ich obu za szyję, przyciągnęła głowy ku sobie i pocałujemy się we troje, ot tak, nie będziecie się już nie lubić, połączycie się tak, jak ja was wiązę w mem sercu. Dobrze, żeś przyjechał, Stef, będziesz mógł wyręczać Brunona; patrzył jak zmizerniał, nie sypia, bo ja, widzisz, zrobiłam się strasznie kapryśna, muszę mieć ciągle kogoś blizkiego przy sobie, boję się spać sama, lękam się samotności, będziecie mogli czuwać na zmianę, Ty Stef, będziesz mógł spać, masz bowiem tak lekki sen, że cię szepcem

zbudzę, gdy mnie najdzie strach. A to wszystko z powodu tej kłapki. Ale to nic, ona się zagoi między wami. Czego tak patrzycie na mnie! Brunonie, chciałabym znowu widzieć figlarne ogniki w twych źrenicach, bo Stef, niema już rady, ma nieuleczalnie smutne oczy. Ale chyba teraz widzisz, mój niedowiarku, że istotnie nie mogłam przyjechać, choć chciałam; mogę cię przekonać, gdzie musi stać zupełnie gotowa do drogi walizka, którą spakowałam — dosłownie — w pocie czoła, miałam właśnie wkładać płaszcz, kiedy mnie to chwyciło...

— Za dużo mówisz, Lili — wtrącił Brunon.

— Dziś tylko, dziś tylko, proszę! — chwyciła go i pocałowała nagle w rękę, a potem, zwracając się do Stefana, rzekła:

— Brunon to tak, jak ojciec, a ty niby syn, a ja to niby córka i matka, a chciałabym być obu siostrą i szczęściem rodzeństwa, a nie tem zmartwieniem, jakim jestem, bom chora i płoża — dodała, przytykając oczy.

— Stef, ty musisz być głodny?

— Ależ nie...

— Napewno, ja cię znam, same papierosy w drodze. Weź go nakarm, Brunonie, a ja się tymczasem ogarne, czuję się dziś świetnie. Zobaczycie, że jeszcze tańczyć będę! — poczęła się uśmiechać.

Gdy wrócili, zastali ją uczesaną, w różowej matince, z twarzą niezwykle świeżą, zaróżowioną nikłym, podskórnym rumieńcem, który nagle wrócił na jej wybladłe, niby liliowe płatki, policzki.

— Widzicie, że jestem jeszcze do ludzi podobną, obrzuciła ich wesołym spojrzeniem.

— Cieszę się nie tem, żeś piękna, bo jesteś nią zawsze, ale, że czujesz się zdrowszą — ucieszył się Brunon.

Stefan w milczeniu pochłaniał ją oczyma, czując, jak wzbierają w nim tłumione długo krwi instynkty. Lili zapłonila się lekko i spuściła oczy, gdyż odgadła wymowę jego spojrzenia.

I gdy Brunon pożegnał ją, by wpaść do biura, ścisnęła poetę mocno za rękę i zaczęła mówić pospiesznie.

— Nie, Stef, nie można, absolutnie nie można, może potem, ale nie teraz, nie gniewaj się, ja to rozumiem, wszystko rozumiem...

— Wiesz, że prowadzę zupełnie otwarte notatki; kiedyś je przeczytasz i będziesz wiedział wszystko... Tobie je zostawię, bo z tobą mi; zawsze było łatwiej o tem rozmawiać; choć, wiesz, że w Brunonie zaczynam dostrzegać pewną nieznaną przed tem wnikiwość, ale z tobą za wyrządzone ci krzywdy pragnęłabym się rozgadać od serca... Proszę mi popatrzeć szczerze w oczy, jesteście obrzydliwi zazdrośnicy, traktujecie nas, jak własność wieczystą,

do tego stopnia, że ludzie, którzy nawet stracili wszelkie serce dla swych żon i upodobanie, strzegą ich cnoty, choć właściwie one już ich nie a nie nie obchodza.

Nie jestem ani zbyt wstydliva, ani pozbawiona temperamentu; raczej przeciwnie, jestem kobieta dość głębokich namiętności, tylko widzisz, Stef, ja wkładam w te sprawy bardzo dużo sentymentu i w tych emocjach, nie tyle zmysłowych, ile serdecznych, znajduję tyle czaru, że *za tę cenę*, by sercem was obu zatrzymać przy sobie, chętniebym się zgodziła pozbyć tej słodkiej reszty. Zda mi się, że *za tę cenę* tylko mogę was pogodzić.

Twarz jej zrobiła się niezwykle poważna i jakby trochę surowa; zamysliła się i mówiła dalej z pewną dozą gorzkości:

— Na granicy śmierci musiałam się znaleźć, byście mogli stanąć obaj przy łóżku mojem, a bez wrogich uczuć zdolni będziecie mnie całować dopiero w trumnie — umarłam...

— Co ty mówisz!? — z przerażeniem odezwał się Stefan.

— Mówię, co czuję — i może tak będzie najlepiej. Ja nie wierzę, by po tamtej stronie mogła być nicłość; wierzę w nieśmiertelność, w jakieś bytowanie bezielesnych cieni, w subtelne istnienie dusz, gdzie wszystko się staje czemś lotnem, czemś niewymownie prześlicznem, jak wonny kwiatów pył... Wierzę we wzajemne poszukiwanie się w niebie tych, co się na ziemi kochali i którzy tam dopiero znajdują pełnię wzajemnego odczucia i zrozumienia.

Wiem że smutkiem, że przy pierwszym spotkaniu zamrtnię swą matkę stosunkiem swym z wami, jako kobiecie starej daty; narazie się zgorszy, ale potem wszystko zrozumie, przebaczy i ogarnie nas troje błogosławieństwem swych śnieżnych skrzydeł... Tam rozkosz będzie tem cichem upojeniem, które następuje po zmysłów szale, sennem odurzeniem rozkwitających kwiatów w nocy, gdy rosy padają, snem słodkim, który będą w stanie śnić wspólnie całe gromady rozkochanych i roztopiających się w sobie z nadmiaru szczęścia...

Lili opadła na poduszki, twarz jej zrobiła się blada, prawie biała, i przybrała wyraz uniesienia... po chwili wzdrygnęła się i rzekła:

— A jednak ja się boję!

— Czego Lili?...

— Śmierci!

— Co ty wygadujesz! — zaczął ze wzruszeniem Stefan — co Lili sobie wyobraża!? Poleży trochę w łóżku i wstanie, a ja wezmę rekonwalescentkę do siebie, będę bardzo grzeczny, posłuszny, będę ślicznie bajki opowiadał, stałe jej towarzyszył, będziemy ciągle razem... we dwoje...

— We dwoje... — westchnęła Lili — więc znowuż chcecie, by jeden cierpiał, gdy drugi czuje się szczęśliwy! Czyż nie rozumiecie, że mnie to już męczy, że zbiegałam się między wami do utraty tchu, a jednak, a jednak ja marzę, ja pragnę i wiem, że przy odrobinie dobrej woli z waszej strony, potrafiłabym tak wszystko ułożyć, żeby nam było dobrze we troje. Chodzi tylko i to, byście się stali sobie bliżczy, mniej ekskluzywni, żebyście pragnęli nie tylko całkowitego dla siebie szczęścia, ale pełni mego. Miłj moi, cieszylibyście się tem wspólnem życiem całe miesiące i dni, w których przecie emocje erotyczne są tylko krótkim momentem.

— Krótkim ale najsilniejszym — przerwał Stefan.

— Tak — powtórzyła machinalnie Lili. Umilkła i po chwili jakby głębokiego namysłu i zatonięcia w sobie szepnęła:

— Tak, sędzę, że potrafiłabym przewidywać wasze nastroje, usposobienia. Wiem, że przy odpowiednim taktcie, przy ścisłym duchowym kontakcie dałoby się wszystko ominąć, wszystkie trudności zwalczyć, owionąć takim urokiem i wdziękiem, że wszystkoby się ułożyło symetrycznie i harmonijnie... A jakże twoja powieść? — spytała, jakby chcąc zmienić temat, który ją widocznie silnie znużył.

— W ostatnich czasach szło mi bardzo ciężko, to też przerwałem: nie umiem pisać, gdy mi rzeczywistość zanadto dolega...

Pisałem ci o tem, posłałem ci trochę gorzkich słów, to też przepraszam cię za te złośliwe ustępy, ale doprawdy nacierpiałem się nie na żarty... tysiące wątpliwości, podsycanych wyobraźnią, obsiadało mnie, jak roje os, gryzło mnie, więc stałem się zjadliwy.

Nie przypuszczałem, że jesteś obłożnie chora, ale to wszystko minęło, jak i twoja słabość minie... Podniesiemy cię, choćbyśmy musieli na głowie stanąć.

Dalszy ciąg nastąpi.



Handzia w Warszawie.

Gdy Handzia wyjeżdżała z rodzicami do Warszawy, panna Antonina zobowiązała ją, że pilna uczenica przywiezie jej o swych wrażeniach ze stolicy — wypracowanie. Handzia próbowała się od tego wykręcić, tłumacząc, że „zupełnie nie będzie wiedziała, jak się wziąć do tego”, ale nauczycielka odpowiedziała jej, że „zwyczajnie, usiądziesz, dziecko, w oknie i będziesz opisywała, co widzisz”. Na to znowu Handzia wpadła na argument, że „jakże ona będzie mogła widzieć, kiedy to będzie późno wieczorem?”, ale panna Antonina i na to znalazła odpowiedź: „To usiądziesz, dziecko, w biały dzień; będziesz widziała jeszcze więcej”. Na to już Handzia nie miała argumentu...

— Będę widziała jeszcze więcej? Ojej!

Posłuszna przyrzeczeniu, zaraz na drugi dzień po przyjeździe siada Handzia przy oknie w pierwszorzędnym punkcie stolicy (ciocia Kaziowa mieszka na Nowym-Swiece od frontu!), bierze pióro do ręki i pisze:

„Jest biały dzień, dziewiątego lipca 1916 roku, godzina trzecia popołudniu, ja siedzę w oknie cioci Kaziowej i widzę, jak dzieci Floryana (on jest stróż, a chłopcykowi na imię Józik i dziewczynce Marysia, zaraz się dowiedziałam, jak tylko przyjechalśmy) wyciągają z podwórza wózek dziecinny i zaczynają się wozić na środku ulicy. Piesek praczki, co mieszka pod ciotką Kaziową (ja już wiem, że się wabi Miluś) kładzie się na szynach tramwajowych na samym słonce, ojej, jak jemu musi być gorąco! Ciekawa jestem, czy on długo wytrzyma? Oho, Józik z Marysią uciekają na trotuar, bo zobaczyli Floryana, że wychodzi z bramy. Teraz jeżdżą po trotuarze i tyle dzieci biega za nimi! Miluś także ucieka z szyny, bo usłyszał, że tramwaj jedzie. To już trzeci wagon, jak siedzę w oknie, a nie wiem czy pół godziny przeszło. Trzy tramwaje, jeden samochód i cztery dorożki — napewno dobrze policzyłam. Ojej, jak tam krzyczą na dole i Marysia płacze! To nic, panno Antonino, to cyklista (ale nie taki ubrany, tylko w tużurku) najechał na Józka i przewrócił go. Jemu nic nie jest, tylko go Floryan bije, że przeszkadza jeździć po trotuarze. Ma się rozumieć, w takim dużem mieście trzeba ogromnie uważać! Ojej, a tam po drugiej stronie znowu się coś stanie, bo jedna elegancka pani ciągnie tak mocno żołnierza za rękę, a druga jej pomaga i ciągnie go w drugą stronę, a on wcale nie chce iść...”

Nie Handzi wina, że nie dokończyła wypracowania dla panny Antoniny. To wujaszek Kazio wszedł do pokoju i zabronił siostrzenicze z prowincji wyglądać w biały dzień na ulice Warszawy.

B. Gorczyński.



Apostrofa.

Nigdy ty dla mnie nie będziesz pochodnią,
 Słupem nadrożnym u rozstai ducha,
 I nigdy myśli blaskiem nie zapłodnią
 Ognie, któremi wulkan zbrodni bucha,
 Nigdy ku twojej dymiącej paszczęce
 Po perły ducha nie sięgną me ręce.

Po lałach echo, co spłynie od ciebie,
 Nie będzie dla mnie głosem, który woła
 Na wielkie szlaki po natchnienia niebie
 Za lśniącem mieczem zagłady anioła,
 I nigdy z pieśni, co dziś rozehrzniwały,
 Nie wyjrzy ku mnie duch poezji biały.

Będzie twe widmo na wieki przekłete
 Z piętnem pohańbień na mych polach stało,
 Wichr w łachman skrzydła zgryzie mu rozjęte,
 Trąd zżerać będzie krwią opite ciało,
 I nigdy kwiecie wspomnień nie uświęci
 Rocznicy twojej w polach mej pamięci.

Bo oto w chwili kiedyś ty przez ziemię,
 W łun żarach rydwan wtoczyła zwycięski,
 Gdy krew w żelaznym trysła ci dyademie,
 Duch się mój grażył jał w omrocza kleski,
 I życia prawda i myśli odwaga
 Zgasła, gdyś w mieczach ty błysnęła naga.

Od jadu spojrzeń twoich i oddechu
 Kwiat uczuć omdlał, roniąc płatki sine,
 Wiarę mi zwarzył bezwstyd twego grzechu,
 W burz wicherze gmach jej strzaskał się w ruinę,
 Po własnej duszy ostałam pogrzebie,
 Szkielet bez serca, co przeżył sam siebie.

I jeśli kiedy ruina porośnie,
 Litosne nagość jej okryje ziele,
 Jeśli o jakiejś złotej ludów wiosnie
 Znów sny się zatlą w duszy mej popiele,
 To jeden tylko cel tej duszy będzie:
 Kłać cię! Kłać zawsze, kłać wiecznie i wszędzie!...

E. L. Voynich.

Przekład z angielskiego
przez H. J. P.

B A K.

27

ROZDZIAŁ III.

— A ja raz jeszcze najsolemniej upewniam Waszą Eminencyę, że Jego odmowa zagraża spokojowi miasta.

Gubernator starał się mówić z uszanowaniem należności dostojnikowi Kościoła; ale mimo to rozdrażnienie przebijało się w jego głosie. Dokuczala mu wtrąbka, przysłano mu kilka słonych rachunków z magazynów za stroje żony, a w ciągu ostatnich trzech tygodni spotykały go same przykrości. Ponura, niechętna ludność, której buntowniczy nastrój stawał się z każdym dniem wyrażniejszym; kraj nadziany spiskami i ukrytą bronią; niedostateczna załoga wojskowa, której lojalność była wielce podejrzana, i kardynał, o którym wyrażał się do swego pomocnika, że był „wcieleniem niepokalanej naiwności” — wszystko to razem wzięte doprowadzało go do rozpacz. A na dobitkę przybył mu Bąk, upostaciowanie wszelkiego złego.

Zaczawszy od tego, że zranił ulubionego synowca gubernatora i jego najsprytniejszego szpiega, ten „kulawy, hiszpański dyabeł” podburzał strażę, stawiał się hardo badającym go oficerom i wogóle „przewracał więzienie do góry nogami”. Był już trzy tygodnie w fortecy i władze

Brisighelli miały go zupełnie dosyć. Poddawano go bezustannym badaniom, nie szczędzono gróźb, perswazyi, wyczerpano wszelkie możliwe sposoby i nie posunięto się ani krokiem naprzód. Mówiono sobie cicho, że kto wie, czy nie było lepiej posłać go wprost do Ravenny. Ale już było zapóźno naprawić ten błąd. Gubernator, przesyłając Legatowi raport o aresztowaniu Bąka, prosił, jak o specjalną łaskę, o pozwolenie przeprowadzenia tej sprawy osobiście, a uzyskawszy je, nie mógł się teraz cofnąć, bo byłoby to znaczyło to samo, co przyznać się do upokarzającej porażki.

Jedyna droga wyjścia z tej trudności było zwołanie sądu wojennego, ale kardynał sprzeciwiał się temu stanowczo i ten opór przetrwał kilkich udźwieceń nieszczęsnego gubernatora.

— Wasza Eminencya — mówił — zapatrywałyby się inaczej na tę sprawę, gdyby danem jej było wiedzieć, co ja i moi towarzysze wycierpieliśmy od tego człowieka. Rozumiem w pełni i szanuję drażliwość Waszej Eminencyi; na nieprawidłowości w sądownem postępowaniu, ale to jest wyjątkowa sprawa i wymaga wyjątkowych środków.

— Niema takiej sprawy — odpowiedział Montanelli — któraby wy-

magala bezprawia; a stawiać cywilnego przestępcę przed tajemny, wojenny trybunał, jest zarówno bezprawiem, jak niesprawiedliwością.

— Śmiem być odmiennego zdania, niż Wasza Eminencya. Więzień popelniał kilka ciężkich zbrodni. Był współnikiem haniebnego zamachu Savigną i Wojskowa Komisya, wysadzona przez Monsignora Spinolę, byłaby go niewątpliwie skazała na śmierć lub na galery, gdyby nie był umknął do Florencyi. Od tego czasu spiskował bezustannie. Znany jest, jako przywódca jednego z najniegodziwszych, tajnych związków w kraju. Cięży też na nim podejrzenie, że przyczynił się do zabójstwa trzech tajnych, policyjnych agentów. Schwytano go, że tak można powiedzieć, na gorącym uczynku przemycania broni palnej do Państwa Papieskiego. Stawił zbrojny opór władzy i zranił ciężko dwóch pełniających służbę urzędników, a obecnie zagraża spokojowi i porządkowi w mieście. Chyba to są dostateczne dane, by usprawiedliwić stawienie go przed sądem wojennym.

— Cokolwiek bądź uczynił — odpowiedział Montanelli — powinien być sądzonym według prawa.

— Procedura cywilna działałaby powoli, Wasza Eminencyo, a w tym wypadku każda chwila jest drogą. Ja, naprzykład, życie w ciągłej trwodze, że ucieknie.

— Jeżeli przewidujesz pan to niebezpieczeństwo, to podwój strażę i czujność.

— Robię, co mogę, Wasza Eminencyo; ale muszę polegać na więziennej załodze, a ten niegodziwiec

poprostu oczarował ich wszystkich. W ciągu tych trzech tygodni cztery razy zanieniałem strażę, nakładałem ciągle kary na żołnierzy, aż mi się to przykrzy i wszystko na nie. Noszą mu listy, posyłki, poprostu rozkochali się w nim, jakgdyby był kobieta.

— To ciekawe. Musi to być jednak niepospolity człowiek.

— Dyabeł nie człowiek, z przeproszeniem Waszej Eminencyi; świętemu zabrakłoby z nim cierpliwości. To prawie nie do wiary, ale ja sam muszę prowadzić badania; bo oficer z urzędu nie mógł już dłużej wytrzymać.

— Jakże to?

— To trudno wytłómaczyć. Wasza Eminencyo; to trzeba słyszeć. Myślałby kto, że to prowadzący badanie jest przestępcą, a on sędzią.

— Ale cóż on tak strasznego uczynić może? Oczywiście, może nie odpowiadać na pytania; ale przecież nie ma innej broni prócz milczenia.

— I języka, jak brzytwa. Wszyscy jesteście ułomni, Wasza Eminencyo, i większość z pomiędzy nas mogła zbłądzić w swoim czasie; ale nikt nie lubi, żeby o tem na dachach trąbiono. Taka już jest ludzka natura, i człowiekowi przykro, gdy mu jakieś tam grzeszki młodości na jaw wywłóczą —

— Czy Rivarez jest w posiadaniu jakiejś prywatnej tajemnicy badającego oficera?

— To jest... jakby tu powiedzieć, biedak zadłużył się, gdy był jeszcze oficerem kawalerji, i pożyczył małą sumkę z pułkowych pieniędzy —

— Innem; słowy, skradł grosz publiczny, powierzony jego pieczy?

— Oczywiście, że postąpił. Wasza Eminencyo, ale jego przyjaciele pokryli ten niedobór niezwłocznie i rzecz się zatarła; to chłopiec z dobrej rodziny i od tego czasu postępowanie jego było bez zarzutu. Jakim sposobem Rivarez to wyszperał, nie mam pojęcia; ale pierwsza rzecz, jaką uczynił przy badaniu, to było wywlec ten stary skandal — i w dodatku wobec podwładnych, i z taką miną niewiniątka, jakgdyby odmawiał pacierz. Oczywiście, poszło to w kurs... Gdyby Wasza Eminencya zechciała być obecną przy jakimś badaniu, przekonałaby się sama — Rivarez nie potrzebowałby o tem wiedzieć. Wasza Eminencya mogłaby wszystko słyszeć z —

Montanelli odwrócił się i popatrzył na gubernatora z wyrazem, który nie często pojawia się na jego twarzy.

— Jestem kapłanem — rzekł — a nie policyjnym szpiegiem i podstuchiwaniem nie wchodzi w zakres moich obowiązków.

— Nie chciałem obrazić Waszej Eminencyi... ogromnie mi przykro...

— Dajmy temu pokój. Przyślij mi pan więźnia tutaj; chcę z nim mówić.

— Pozwalam sobie odradzać ten krok Waszej Eminencyi. To niepoprawny zbrodniarz. Byłoby rozumnie i bezpieczniejszym przeoczyć w tym wypadku literę prawa i pozbyć go się, nim znów jaką niegodziwość popełni. Z wielką nieśmiałością nastaje na to po tem, co Wasza Eminencya powiedziała; ale jestem odpowiedzialnym za spokój i porządek w mieście przed Monsignorem Legatem —

— A ja — przerwał Montanelli — jestem odpowiedzialnym przed Bogiem i Jego Świątobliwością, żeby się żadne pokątne wykroczenia nie działy w mojej diecezyi. Skoro pan, pułkowniku, nalegasz tak na mnie, muszę się powołać na mój kardynałski przywilej. Nie dopuszczę do zwolania tajemnego sądu wojennego w tem mieście, w czasie pokoju. Chcę widzieć się z więźniem tu, sam na sam, jutro o dziesiątej rano.

— Jak sobie Wasza Eminencya życzy — odpowiedział gubernator z posępną uległością i odszedł mrużąc:

— Jeżeli chodzi o upór, to ci dwaj szukali się w kocu maku.

Nikomu nie powiedział o zamierzonym spotkaniu aż do chwili, gdy przyszedł czas zdjąć więźniowi kajdany i zaprowadzić go do biskupiego pałacu. Lękał się jakiejś znowy z żołnierzami i ucieczką tego „wcielenego dyabła“ po drodze, gdyby się to wcześniej rozniosło.

Gdy Bąk pod silną strażą wszedł do pokoju, w którym Montanelli pisał przy stole zarzuconym papierami, przypomniało mu się pewne, gorące popołudnie latem, gdy siedział, przeglądając rękopisy z kazaniami w gabinecie bardzo do tego podobnym. Żaluzje były tak samo zamknięte, a z ulicy dochodził, jak w tej chwili właśnie, głos owocarki wołającej: „Fragoła! Fragoła“.

Gniwnym ruchem odrzucił włosy z czoła i złożył usta do uśmiechu.

Montanelli spojrzał na niego z nad papierów.

— Możecie poczekać w przedpokoju — rzekł do straży.

— Z przeproszeniem Waszej Eminencyi — zaczął sierżant zniżonym głosem, z widocznym zakłopotaniem — pułkownik powiada, że ten więzień jest niebezpieczny i że będzie lepiej —

Nagły ogień błysnął w oczach Montanelli'ego.

— Możecie poczekać w przedpokoju — powtórzył spokojnie, a sierżant przestraszony i belkocący coś niewyraźnie opuścił pokój ze swymi ludźmi.

— Proszę usiąść — rzekł kardynał, gdy drzwi się zamknęły. Bąk usłuchał w milczeniu.

— Panie Rivarez — zaczął Montanelli po chwili — chciałbym panu zadać parę pytań i będę panu bardzo obowiązany, jeżeli mi na nie odpowiesz.

Bąk uśmiechnął się.

— Mojem g...głównem za... a...a...jęciem obecnie jest słu...u...u... chać zadawanych mi pytań.

— I nie odpowiadać na nie? Tak słyszałem; ale te pytania zadają panu urzędnicy prowadzący śledztwo przeciwko panu, których obowiązkiem jest wyyskiwać odpowiedzi pańskie na korzyść sprawy.

— A pytania Waszej Eminencyi?

W słowach tych, a bardziej jeszcze w tonie, jakim były wypowiedziane, tkwiła ukryta zniewaga, i kardynał wyczuł ją natychmiast, ale twarz jego zachowała wyraz słodkiej powagi.

— Moje pytania — rzekł — czy pan na nie odpowiesz, czy nie, pozostaną pomiędzy mną a panem. Jeżeli potrąca przypadkiem o pańskie polityczne tajemnice, to, oczywiście, nie odpowiesz mi na nie. W przeciwnym razie, aczkolwiek jesteśmy sobie zupełnie obcy, spodziewam się, że pan mi nie odmówisz wyjaśnień.

— Jestem całkowicie na usługi Waszej Eminencyi — rzekł Bąk i skłonił się sztywno.

— Przedwziętykimi, zatem, mówią, żeś pan przemycał broń palną do mojej diecezyi. W jakim celu?

— By za...za...zabijać szcury.

— To straszna odpowiedź. Czyż bliźni; pańscy są szcurami w twoich oczach, jeżeli nie dzielą twoich poglądów?

— Nie...k...k...którzy z nich — tak.

Montanelli oparł się o krzesło i popatrzył na Bąka przez chwilę w milczeniu.

— Co panu w rękę? — zapytał nagle.

Bąk spojrział na swoją lewą rękę. — Stare znaki od zębów niektórych szcurów.

— Przepraszam, mówię o drugiej ręce. To są świeże znaki.

Bąk podniósł szczipłą, giętką rękę spuchniętą i posiniaczoną.

— O, to drobnostka — rzekł. — Gdy mnie zaaresztowano, dzięki Waszej Eminencyi — tu skłonił się z lekka — jeden z żołnierzy nastąpił mi na dłoń.

Montanelli wziął rękę i przyjrzał się jej uważnie.

— Jakże może być w takim stanie po upływie trzech tygodni? — zapytał. — Cała zaogniona.

— Prawdopodobnie ucisk kajdan n...n...nie podziałał na nią kojąco.

Kardynał ściągnął brwi.

— Jakto? Kładli panu kajdany na świeżą ranę?

— Oczywiście, Wasza Eminencyo; na to właśnie są świeże rany. Stare rany nie są warte. Bola tylko, ale zaognić ich nie można.

Montanelli popatrzył znów na niego badawczo; poczem wstał i otworzył szufladę pełną chirurgicznych przyborów i środków.

— Daj mi pan rękę — rzekł.

Bak z twarzą chłodną, jak stal, wyciągnął rękę, a Montanelli, obmywszy ją, obandażował zreżniętą i delikatnie. Widocznie miał wprawę w tego rodzaju czynnościach.

— Pomówię z nimi o tych kajdanach — rzekł. — A teraz, chcę panu zadać drugie pytanie. Co pan zamierzasz uczynić?

— Odpo...o...wiedz na to bardzo prosta, Wasza Eminencyo. Uciec, jeżeli się uda, a jeżeli się nie uda, umrzeć.

— Dlaczego umrzeć?

— Bo jeżeli gubernatorowi nie uda się uzyskać na mnie wyroku śmierci, poślą mnie na galery, a dla m...m...mnie to na jedno wychodzi. Nie mam zdrowia, aby to przetrzymać.

Montanelli oparł łokieć na stole i zadumał się. Bak nie przeszkadzał mu. Siedział przechylony w tył, z przymkniętymi oczyma, rozkoszując się fizyczną ulgą, jaką mu zdjęcie kajdan sprawiło.

— Przypuśćmy — zaczął znów Montanelli, — że uda się panu uciec; co uczynisz nadal z życiem?

— Powiedziałem już Waszej Eminencyi. Będę tępić szczury.

— Będiesz pan tępić szczury. To znaczy, że gdybym wrócił panu wolność — przypuśćmy, iż miałbym tę władzę — użyłbyś pan tej wolności, by szerzyć gwałty i rozlewać krew?

Bak podniósł oczy na wiszący na ścianie krucyfik i uśmiechnął się.

— Pojęcie gwałtu jest rzeczą względna — rzekł sucho.

— Dajmy mu więc pokój. Ale czy nie zechciałbyś pan wytlómaczyć mi, dlaczego w swoim czasie tak gwałtownie napadałeś na mnie w swoich publikacjach? Jeżeli obrałeś mnie pan sobie poprostu jako podatne narzędzie dla pańskich politycznych celów, to nie poruszajmy tej sprawy; mnie jednak zdawało się wtedy, że w pańskich napaściach tkwi jakaś osobista niechęć. Jeżeli się nie mylił, to radbym wiedzieć, czy wyrządziłem panu kiedy co złego, lub w jakikolwiek sposób dałem panu powód do tak wrogich względem mnie uczuć?

Czy wyrządził mi kiedy co złego! Bak przytknął obandażowaną rękę do gardła.

— Muszę się powołać na Szekspira, Wasza Eminencyo — rzekł, zaśmiawszy się krótko. — Ze mną jest, jak i z tym człowiekiem, który nie mógł znieść kota. Mam antypaty do księży. Sam widok sutanny sprawia mi o ból zębów.

— Och! jeżeli to tylko! — Montanelli uczynił niedbały ruch ręką. — Jednakże — dodał — antypatyja nie upoważnia do przekręcania faktów. Gdyś pan w odpowiedzi na moje kazanie twierdził, że znam mego bezimiennego obrońcę, omyliłeś się pan — nie oskarżam pana o świadomy fałsz — i powiedziałeś nieprawdę.

Po dziś dzień nie wiem, kto to mógł być.

Bak przekrzywił głowę na bok, jak sprytny ptaszek; popatrzył przez chwilę poważnie na kardynała i nagle wybuchnął śmiechem.

— O! Sancta simplicitas!... O Ar...r...kadyjska naiwności!... I Wasza Eminencya naprawdę nie poznała się na tej komedycje?

Montanelli powstał.

— Czy to ma znaczyć, Signor Rivarez, że pan obie strony tej polemiki pisałeś?

— Tak, to było bardzo brzydko, wiem o tem — odpowiedział Bak, patrząc na niego szeroko otwartymi oczyma, które w tej chwili były błękitne i niewinne, jak oczy dziecka.

— A Wasza Eminencya poźnąłeś to wszystko gładko, jak ostrygę. Tak, to było szkaradnie z mojej strony; ale, och! to było tak za...a...a...hawne!

Montanelli przygryzł wargi i usiadł znowu. Od początku spostrzegł, że Bak chciał go wyprowadzić z równowagi i postanowił nie dopuścić do tego, ale rozgoryczenie gubernatora zaczęło mu się wydawać usprawiedliwionem do pewnego stopnia. Człowiekowi, który od trzech tygodni trawił dwie godziny dziennie na badaniu Baka, można było wiele wybażyć.

— Dajmy temu pokój — rzekł spokojnie. — Chciałem z panem pomówić prywatnie dlatego, że moje położenie, jako kardynała, nadaje mi

przywilej rozstrzygającego głosu w pańskiej sprawie. Przywileju tego użyłbym jedynie w razie, gdyby stać się panu miała krzywda, nie wywołana koniecznością przeszkodzenia panu do wyrażania krzywd innym. Posłałem więc po pana, po części, by zapytać, czy pan nie masz powodu uskarżać się na co — o kajdanach pomówię z gubernatorem, ale może doznajesz pan jeszcze jakich innych przykrości — a po części uważałem za słuszne, nim wypowiem moje zdanie, wiedzieć, jakiego rodzaju człowiekiem pan jesteś.

— Nie mam się na co skarżyć. Wasza Eminencyo. *A la guerre, comme à la guerre.* Nie jestem smarkaczem, i nie mogę się spodziewać, żeby jakikolwiek rząd głaskał mnie po głowie za to, że przemycam palną broń na jego terytorium. Co się tycze tego, jakiego rodzaju człowiekiem jestem, to już raz Wasza Eminencya wysłuchała romantycznej spowiedzi moich grzechów. Czy to nie wystarcza, czy też m...m...mam zacząć na nowo?

— Nie rozumiem pana — rzekł Montanelli chłodno, obracając w palcach ołówek.

— Wasza Eminencya nie zapomniała chyba starego pielgrzyma Diega!

Zmienił nagle głos i zaczął mówić płacziwym głosem:

— Jestem nędznym grzesznikiem — —

Dalszy ciąg nastąpi.

Wspomnienie o Fitzgeraldzie.

Z powodu wiadomości podanej w pismach o odnalezieniu zwłok sekretarza Kitchenera — Fitzgeralda, który utonął na statku „Hampshire”, otrzymanym od jednego ze znanych prawników warszawskich garść wspomnień z poznania tego wybitnego działacza w r. 1889-tym.

Na początku jesieni 1888 roku kolonia polska w Nowym Margelanie, głównem mieście obwodu Fergańskiego w rosyjskim Turkiestanie, zgłosiła sympatyczne rodaka, p. Bronisława Grabczewskiego, udającego się z ekspedycją „naukową” do Kafirystanu. P. Grabczewski, zajmujący wówczas stanowisko urzędnika do szczególnych poleceń przy fergańskim gubernatorze wojennym, zdobył sobie imię, jako śmiały podróżnik po mało znanych krajach, graniczących od południa z Turkiestanem. Obdarzony wyjątkową zdolnością przyswajania sobie języków różnych plemion, zamieszkujących Turkiestan i kraje doń przyległe, prawie corocznie urządzał wyprawy do różnych miejscowości gwoli dokładnego zbadania odrębności plemiennych i z wycieczek takich zdawał wyczerpująco sprawę petersburskiemu T-wu geograficznemu.

Jego ekspedycya do mało znanego Kafirystanu miała znaczenie o wiele poważniejsze, niż dotychczas przedsięwzięte przezeń podróże, chodziło bowiem o wyszukanie najprostszej i najdogodniejszej drogi do rzekomo niezawisłego chanatu nad granicą Indyi przez pasmo gór Altajskich, oddzielających Kafirystan od Turkiestanu z północy a od Afganistanu z zachodu. Niezawisłość władcy powin-

cy owej była tylko pozorną, faktycznie rząd brytańsko-indyjski rozciągał nad chanatem kafirystańskim opiekę równie czujną, jak np. rząd rosyjski nad fikcyjnie niezawisłą Bucharą, rządzoną *de facto* przez rezydującego tam rosyjskiego agenta politycznego.

Rząd rosyjski, emulujący co do wpływów na słabe organizmy państwowe w Azji Środkowej z rządem angielskim, wyczuł dobrze orientację polityczną władcy chanatu, sąsiadującego z Indyami. Zrozumiano w Petersburgu, że wołał on zamienić faktyczny, acz traktatowo nie uregulowany, protektorat ze strony rządu indyjskiego na mniej uciążliwy protektorat „białego cara” (takim epitetem darzą ludy azyatyckie cesarza rosyjskiego), będącego hen — gdzieś daleko po za grzbietem Hindu-Kuszu i górzystą krainą Badachschanu.

Misyja więc p. Grabczewskiego miała charakter wybitnie polityczny, a „naukowość” ekspedycyi, w której skład weszło kilkunastu kozaków i jeden cywilny „wypychacz ptaków” — była tylko pozorną; specjalista od wypychania zabijanego po drodze ptactwa miał uspokoić podejrziwe angielskie sfery rządowe co do istotnego celu ekspedycyi... Rok cały nie mieliśmy żadnych wieści o losie ekspedycyi. Dopiero w sierpniu następnego

89-go roku wrócił Grabczewski do Margelanu po całym szeregu przygód uciążliwej podróży. Musiał on przedzierać się przez liczne doliny, w kształcie przemieszków, przedzielonych wysokimi górami o śnieżnych szczytach, sięgających często do 24,000 stóp wysokości. Była to podróż tem więcej ryzykowna, że przejścia łączące doliny są tam w pełnych porach roku bardzo utrudnione, a niektóre okazały się wprost niedostępne, wobec czego należało ustawicznie cofać się z dotartych już pozycyi i wyszukiwać innych dróg okólnych dla dotarcia do celu podróży. W dodatku wszędzie napotymano ludność na wpół dziką, wrogo usposobioną dla ekspedycyi.

Pomimo doznanych przykrości, rezultat misyi śmiałego podróżnika uwieńczonej został narazie powodzeniem zupełnym. Wprawdzie niewiele przywiózł z sobą Grabczewski wypchanych ptaków (kosztem utraty kilku kozaków i prawie wszystkich ich koni), ale za to otrzymał on własnoręczne listy od chana Kafirystańskiego do „Białego cara” i generał-gubernatora turkiestańskiego, z prośbą o przyjęcie chanatu pod protektorat rosyjski. Nie mógł jednak rodak nasz natychmiast udać się do Petersburga dla doręczenia ważnego dokumentu władcy państwa, warunki bowiem uciążliwej podróży odbiły się fatalnie na jego zdrowiu i w parę dni po powrocie do Nowego Margelanu zległ on trapiiony gorączką tyfoidalną.

Rozstałem się z Grabczewskim w trakcie jego choroby, udając się na czteromiesięczny urlop za granicę.

* * *

W drodze z Batumu do Konstantynopola wsiadł na statek nasz w Trebizondzie urodziwy, młody, niewiele ponad 30 lat liczący p. Fitzgerald, dymisjonowany oficer angielski, ówczesny korespondent polityczny wielkiego dziennika londyńskiego „Daily News”. Okazał się on niezrównanym towarzyszem podróży: zwiedził wszystkie kolonie angielskie, w których pełnił służbę oficerską, dłuższy czas przebywał w Ameryce Północnej, jako angielski *attaché* wojskowy, doznał wiele już wrażeń, przerzucany z miejsca na miejsce, zdradzał duży zmysł obserwacyjny i umiejętność wysnuwania trafnych wniosków ze słych spozstrzeżeń.

Wracał on z Armenii tureckiej, skąd przesyłał redakcyi dziennika sprawozdania o ówczesnych ruchach wśród ludności ormiańskiej. Zajmowaliśmy z p. Fitzgeraldem jedną kajutę na statku. Dowiedziałwszy się, że jadę z głównego miasta Fergany, zapytał mnie, czy znam zamieszkałego tam „emisariusza z rządu rosyjskiego, delegowanego do Kafirystanu w celu nakłonienia władcy chanatu do oddania się pod protektorat Rosyi”.

Zaskoczony i zdumiony tem pytaniem, odrzekłem, że, o ile mi wiadomo, wyprawa Grabczewskiego miała charakter naukowy.

Roześmiał się mój rozmówca i rzucił taką charakterystyczną uwagę: — Ach tak, rosyjskie misye polityczno-wywiadowcze noszą zwykle miano wypraw „naukowych”, my zaś — anglicy, urządzamy w takich wypadkach wyprawy „myśliwskie”. Zapewne spotykał je pan i w Ferganie — zakonkludował:

— *Every country has its own way to lead astray its adversary...* *)

*) Każdy kraj kieruje się swoim systemem dla zmiany czujności przeciwnika.

Tu nadmienić muszę, że istotnie prawie co roku zjeżdżało do Turkiestanu po kilku anglików, nieraz w asystencyi żon, z piśmiennemi poleceniami rosyjskiego ministerjum spraw zagranicznych do generał-gubernatora, aby ułatwić „turytom” organizowanie wyprawy myśliwskiej w góry Altajskie, lub w stronę granicy Afganistanu. „Polowali” oni zwykle po parę tygodni lub dłużej w miejscowościach mało znanych, wracając z niezbyt wielkimi łupami myśliwskimi...

— Znajomy pański musiał mieć skwaszoną minę, dowiedziawszy się o dalszych skutkach swoich zabiegów, jeśli dotarła już doń wieść o losie chana Kafirystańskiego...

— Widziałem się z Grabczewskim na parę dni przed moim wyjazdem z Margelanu i wiem tylko, że był przyjęty przez chana gościnnie, jako śmiały podróżnik.

— Mogę więc panu zakomunikować, że od paru tygodni Kafirystan został włączony do posiadłości angielskich, jako prowincya Indyi, a były władca chanatu zażywa już zasłużonego po trudach panowania wypoczynku łącznie ze swym haremem w pięknym pałacu w jednym z miast indyjskich.

Wyczytawszy na twarzy mej zdziwienie, p. Fitzgerald ciągnął dalej swe wynurzenia:

— Musimy być bardzo czujni wobec zdradzanego apetytu naszego wschodniego sąsiada na nasze posiadłości w Azji. To też o wizycie pana ...ski (niestety, trudno mi wymówić jego nazwisko) u chana w Kafirystanie rząd angielsko-indyjski był poinformowany dokładnie przez swoich agentów telegraficznie. Zaraz też po jego wyjeździe do tegoż chana wysłana została odpowiednia deputacya z propozycyą następującą:

— Albo jego dostojność natychmiast przeniesie się na prawach „stałego gościa” do Indyi, gdzie zażywać będzie do końca życia odpowiedniego dobrobytu z roczną płacą kilkunastu tysięcy funtów szterlingów, a państwem jego zaopiekuje się rząd angielski przez aneksyę do Indyi, lub też będzie on musiał stoczyć krwawą walkę z oczekującym na granicy dalszych rozporządzeń wojskiem naszym...

Chan okazał się człowiekiem mądrym, nie lubiącem ryzyka, — no, i zgodził się na pierwszą propozycyę. Kafirystan więc zaokrąglił już od paru tygodni dalsze posiadłości indyjskie...

* * *

— Szybko jednak doszła wiadomość o tem wydarzeniu do Anglii — zauważyłem. Wyjechałem z Margelanu przed tygodniem, a nic tam jeszcze o aneksyi owej nie wiadano.

— Ja również wyjechałem z Londynu przed tygodniem, gdzie doszły nas najdokładniejsze wieści drogą obszernych korespondencyi telegraficznych tak o pobycie pana ...ski w Kafirystanie, jak i o dalszych losach władcy tej prowincyi.

„Zwyciężają — czujni!...”

* * *

Przypomniałem sobie obecnie tę rozmowę z przed dwudziestu kilku laty ze zmarłym niedawno w sposób tragiczny angielskim działaczem państwowym, a wspomnienie owe nasuwa pytanie, czy może być długotrwałym obecny alians angielsko-rosyjski?...

L. P.

